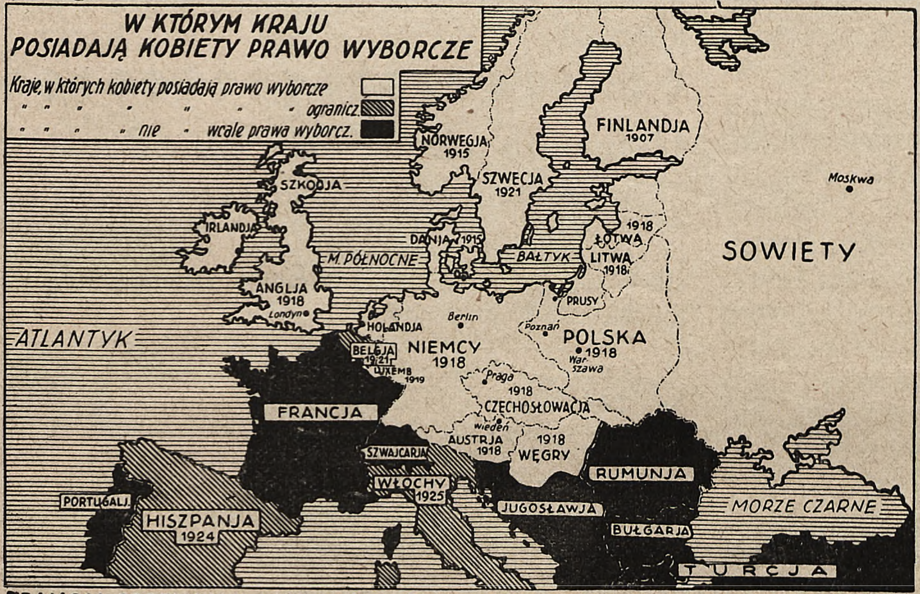
Nr. 7 Poznań, lipiec 1927 Nakład 19.400 egzempl.

GAZETA DLA KOBIET

OGŁOSZENIA umieszczone na całej str. zł 250.—
1 mm — 1 łamu . . . zł 0.19
Gazeta dzieli się na 5 łamów.

Telefon nr. 15-27 - Konto czekowe 200-368
Przedruk
dozwolony tylko za poprzednim porozumieniem się



FRANCJA, PORTUGALJA I CAŁY BAŁKAN DOTYCHCZAS NIE POSIADAJĄ PRAWA WYBORCZEGO.

Weterynarzowi czyli lekarzowi zwierząt, leczącemu przecież tylko barany i bydlęta — daje się wykształcenie szkoły najwyższej czyli uniwersyteckie. Matce, mającej w swej pieczy nieśmiertelne dusze dziecięce, żadnego często nie dajemy wykształcenia! Jak mało troszczy się o nią społeczeństwo! Jak mało dba o nią gmina! Jedynie z opiekuje się nią dusza wyjątkowa lub mądry i troskliwy duszpasterz. A przecież od wychowania matki zależy wychowanie całego społeczeństwa.

Specjalistka od rozwodów.

Włóczy się po Europie pisarka bardzo utalentowana, ale nie bardzo zdrowa moralnie — pani Karin Michaelis.

Specjalnością autorską jej stały się rozwody, bo się rozwiodła z mężem, a potępienie, z jakiem się spotkała ze strony społeczeństwa swych rodzinnych okolic, a nawet własnej matki, nie wpłynęły na nią dodatnio. Przeciwnie — zawzięła się.

I postanowiła jeździć po świecie i dawać żonom i matkom wszystkich krajów swoje rady Przywędrowała też i do nas.

Nawołuje więc do założenia niezwykłej instytucji i asekurowania każdej kobiety od urodzenia na wypadek przyszłego rozwodu. Niech będzie ubezpieczona, niech względy materjalne nie staną jej na przeszkodzie, ile razy zechce rzucić męża.

Niech więc będzie ubezpieczona ażeby nietylko ilekroć tylko zechce. mogła męża porzucić i za nowego wychodzić, lecz żeby jeszcze za każdy rozwód na dobitek otrzymała premję Takie prawdy głosi Karin Michaelis, specjalistka od rozwodów, którą w Warszawie honorowały nietylko organizacje literatów polskich, lecz nawet sfery urzędowe. Przed takimi kulturträgerami zagranicznymi należy drzwi czemprędzej zamknąć. Lud nasz wcale tego nie pragnie, co oni głoszą. Na dowód tego, że lud zupełnie słusznie w dążeniu do rozwodów widzi pokrzywdzenie jednej lub drugiej strony, niech nam wolno będzie przytoczyć wydarzenie które niedawno miało miejsce w Łomży.

Wielkie wrażenie wywołało w Łomży

Poco? Rzymska gazeta papieska Osserwatore Romano wspomina w numerze 267 z dnia 17 października 1926 r., że w Meksyku w miejscowości Noria de Angels skradł z kaplicy pewien oficer kilka Przenajświętszych Hostyj i spożył je na urągowisko publiczne na rynku wyjmując z puszki równocześnie sardynki... Drogie czytelniczki! Czyż jeszcze można się pytać, po co komunikować, po co adorować Najsłodsze Serce, po co obchodzić pierwsze piątki każdego miesiąca? Za takie zniewagi należy Serce Jezusowe wynagrodzić!

tragiczne samobójstwo żony właściciela miejscowego kinoteatru „Miraż“ R. Budnikowej.

Desperatka pochodziła z Białegostoku i przed niespełna rokiem wyszła zamąż za mieszkańca Łomży Budnika. Dzięki otrzymanemu pokaźnemu posagowi (3000 dolarów) Budnik stał się właścicielem kinoteatru „Miraż“ w Łomży. Jednakże zaraz po ślubie Budnik zaczął zaniedbywać swą żonę pozostawiał ją samą całemi dniami, często nawet bez środków do życia i spędzał swój czas ze swoją przyjaciółką, żoną miejscowego kupca, p K Budnikowa wielokrotnie usiłowała nakłonić męża, by zaniechał takiego gorszącego postępowania i zwracała się także do jego przyjaciółki, by zostawiła w spokoju jej męża. Prośby te jednak nie odniosły skutku i młoda niewiasta, nie mogąc nadal znieść takiego życia, rzuciła się z trzeciego piętra na bruk, ponosząc śmierć na miejscu. Samobójstwo to wywołało w całem mieście rozgoryczenie i gniew przeciwko mężowi desperatki i jego przyjaciółce Tłumy oblegały miejsce samobójstwa i nawoływały do zemsty.

Rozgoryczenie tłumu wzrosło, kiedy na ulicy ukazała się kochanka Budnika.

Tłum rzucił się na nią, i gdyby nie energiczna interwencja policji, byłby ją zlynchował

Nazajutrz tłum napadł na jej mieszkanie i znowu jedynie policja uratowała mieszkanie od zdemolowania.

Największe jednak napięcie osiągnęło rozgoryczenie tłumu podczas pogrzebu samobójczyni W pogrzebie wzięły udział tysiące mieszkańców, zarówno chrześcijan jak i żydów. Z tłumu padały okrzyki: „Zlynchować męża!“ „Śmierć kochance!“ Tłum coraz wzrastał i kierował kondukt pogrzebowy do domu kochanki Budnika. Tu rzucono się na zamknięty sklep wyłamano żaluzje i z trudem udało się policji wstrzymać rozgoryczony tłum. Dom Budnika strzeżony był przez policję w obawie ekscesów ze strony tłumu

Na cmentarzu wygłoszono szereg przemówień, w których oskarżono męża i jego kochankę. Recki.

Dlaczego chodzi się na odpusty?

W pobliżu pewnego miasteczka znajduje się cudowne miejsce. W drodze do tego kościoła spotkał pewien młodzik, zamieszkały w mieście, jakąś starą kobietę z różańcem w ręku. Młodzik pyta się jej, czy w domu swoim nie może też tak samo odprawiać różańca, jak w tym kościele?

Zamiast odpowiedzi, pyta go kobieta: — A dokąd pan idzie?

— Ja — ja idę do karczmy... na szklankę piwa?

— A czy pan nie może w domu napić się piwa?

— Dlaczego nie, mogę i w domu. Ale w karczmie jest piwo prosto z beczki. świeże, smakuje mi tam lepiej i mam przyjemne towarzystwo.

— A widzi pan, tak samo i mnie co do modlitwy. W tym pięknym kościele, tam na górce, idzie mi modlitwa raźniej, mam tam lepszy gust do modlitwy i mam i tam bardzo przyjemne towarzystwo.— wielu innych pobożnych i modlących się ludzi.

Młodzik pomruczał sobie coś pod nosem i oddalił się, ale już na przyszłość zostawiał w spokoju pątników pobożnych, spieszących do kościoła odpustowego.

U progu szkolnego.

(Gdzie dziewczę ma sześć lat).

Mała Wiśka pójdzie niedługo pierwszy raz do szkoły. Tylko jeszcze dwa miesiące.

„No cóż, Wisiu, cieszysz się, że będziesz chodzić do szkoły?“

Radością i zapałem błyszczą jej oczy.

„I jak jeszcze!“

Podchodzi zupełnie bliziutko i mówi z tajemniczą minką: „Ja już tak dużo umiem, wiele więcej niż Władzia i Jasia“.

„A cóż — ty umiesz?!“

„Umiem liczyć do 30, umiem napisać a, i, l, k“.

„I co jeszcze?“

„Umiem jeszcze powiedzieć wierszyk o koguciku“.

Patrzę na dziewczynkę. Jest ogromnie dumna z siebie. Ma minkę, jak gdyby była conajmniej małą bohaterką.

„To ty już jesteś mądra?“ A powiedz mi też, jak się ty nazywasz?“

„Wiśka“.

„To twoje imię, a nazwisko?“

„Nazwisko?“ Z ogromnem zdziwieniem patrzy dziecko na mnie. „Wiśka tylko“..

„No, niech tak będzie. A pokaż mi teraz lewą rączkę!“

Dziecko waha się. Coś niecoś musiała już słyszeć o „lewej i prawej“ ręce. Namyśla się chwilkę — ostatecznie wyciąga do mnie rączkę — rzeczywiście lewą.

„No, Wisiu, czy ty się nie omyliłaś? Czy to też napewno lewa rączka?“

„Ach nie, nie, to nie ta. Tutaj jest lewa“. I z uśmiechem wyciąga do mnie drugą rączkę czyli prawą.

Pogłaskałam ją po główce. Chcę więcej jeszcze pytać. Ale już niema chęci do dalszego popisywania się wiadomościami swojemi.

„O, tam idzie Jasia!“ woła nagle. I raz, dwa, już jej niema.

Zostaję sama. Zaczynam się zastanawiać. Czy owa matka dobrze przygotowała swą dziecinę do szkoły?

Stanowczo nie. Szkoła wymaga coprawda, by dziecko już po części było przysposobione dla niej, lecz przygotowanie to ma być zupełnie inne.

Porachunek.

Zatoka w Gdyni połyskiwała w słońcu. Fali nie było. Zatoka była niebieska, jako to niebo rozpięte nad nią. Powietrze przepojone pogodą. Tylko zdaleka na krańcu horyzontu widna była ciemna smuga.

Znający morze i jego nieprzewidziane przejawy mówili:

— Będzie burza.

Drudzy, nowicjusze na brzegu morskim, śmiali się z przepowiedni.

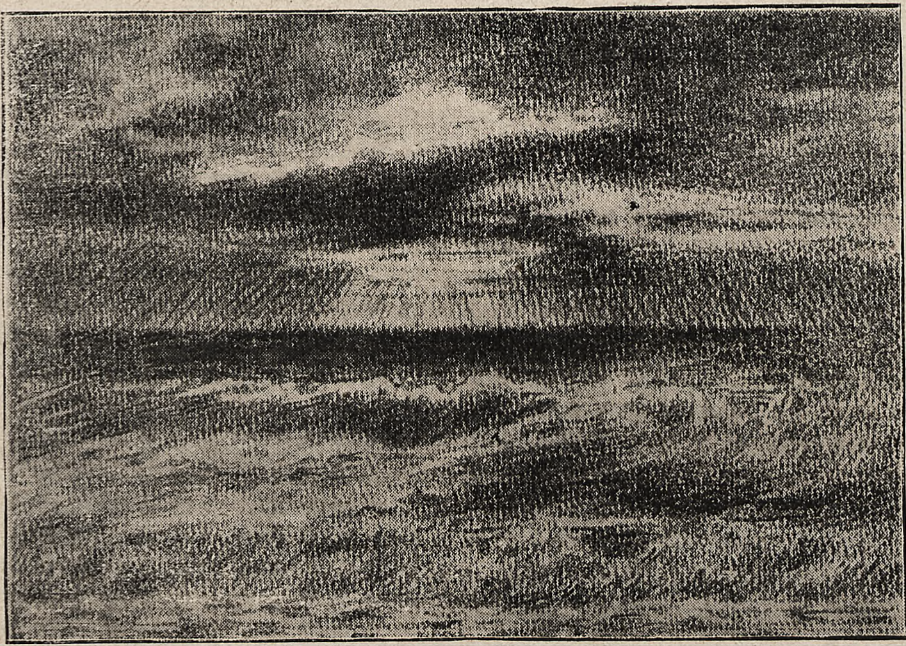
Na plaży wrzało jak w ulu. Jedni, leżąc na piasku, wygrzewali się w słońcu, drudzy chodzili, szukając mu-

jak widmo... Była niejako zapowiedzią, że coś groźnego się gotuje w niebieskich przestworzach i niesie po radości — smutek. Była symbolem życia, które składa się ze świateł i cieni.

Beztroska publiczność, która na to znalazła się nad morzem, aby się bawić i kąpać, spostrzegła dopiero wtenczas, że czas najwyższy uciekać, kiedy zabrzmiał dzwon alarmowy, ostrzegający kąpiących się, aby spieszyli na brzeg, bo niebezpieczeństwo nadciąga.

Zaledwie towarzystwo znalazło się na piasku, burza nadeszła i uderzyła z całą siłą. Pędziły czarne

Tam, gdzie na obrazku niebo zderza się z morzem



wzburzonem walczył Ryszard z falami o swoje życie.

szelek, które morze wyrzuca; a część największa znalazła ochłodę w niebieskiej wodzie spokojnego w tej chwili morza. Gwar i beztroski śmiech rozlegał się wszędzie. Ludzie cieszyli się pogodą, ciepłem, spokojem.

Tymczasem tam — u skraju horyzontu — smuga czarna zaczęła się powiększać. Rosła i zbliżała się

chmury, wiatr wył dziką swą melodję. Spokojne przed chwilą morze oszalało! Fale z białymi grzbietami pędziły jakby miały za cel świat cały zalać. Jedna za drugą i jedna nad drugą. Wzdymały się i rosły, aby z hukiem podobnym do grzmotu rozbić się o nadbrzeżne piaski. Groza była w powietrzu, groza na twarzach

---

Że dziecko umie już liczyć do 20, albo nawet do stu, że umie napisać kilka liter albo powiedzieć ładny wierszyk, z tego nauczyciel niema żadnych korzyści, ani żadnej pomocy. Dzieci tak przygotowane przeszkadzają mu raczej w pracy.

Inne wiadomości stają mu się natomiast pomocą. I te powinno dziecko przynieść z domu rodzinnego do szkoły: powinno znać imię swoje i nazwisko i umieć wymówić je wyraźnie. Niech dziecko potrafi cierpliwie wysłuchać kilka pytań z rzędu i niech umie na nie odpowiedzieć śmiało, bez bojaźni. Niech umie wymawiać wszystkie dźwięki (również i trudniejsze jak: k, t, l, sz, cz, dź, r); niech będzie przyuczone do tego wytrzymać godzinę bez jedzenia i bez picia; niech umie bez pomocy włożyć płaszczyk swój, zawiązać sobie czapeczkę, otworzyć i zamknąć swój piórnik.

A w drugim rzędzie niech potrafi orjentować się, gdzie lewo, prawo, gdzie u góry, na dole.

Niech wreszcie będzie w pewnym stopniu wychowane, przyzwyczajone do posłuszeństwa, do uprzejmości, grzeczności; niech będzie zgodne i uczynne. I niech potrafi też znieść bez skrzywienia minki, niektóre nieprzyjemności, przykrości.

Dzieci, które tego wszystkiego jeszcze nie znają, są zwykle w pierwszych tygodniach w szkole nie bardzo szczęśliwe.

Tutaj więc jest szerokie pole działania dla rodziców. Tyle niech dziecko wie i umie, gdy pierwszy raz przestąpi próg izby szkolnej. — Tylko tyle. Pozatem nic.

Każda inna nauka przedszkolna w czytaniu, pisaniu, rachowaniu, jest dziecku raczej szkodliwa niż pożyteczna, szkodzi mu cieleśnie i duchowo, nadwyręża słaby jego, nierozwinięty jeszcze system nerwowy.

I pocóż zresztą skracać naszemu maleństwu ten i tak niedługi czas złotej, beztroskiej wolności dzieciństwa jego?

Na końcu jeszcze jedna, lecz najważniejsza uwaga: Niech dziecko umie paciorek, niech tego pacierza uczy je matka, a nie służąca — niech się pobożnie przy pacierzu umie zachować.

Sława Ber.

—o—

ludzi. Patrzyli oniemieli na tę tak szybką i straszną przemianę.

Uciekli też na krytą terasę, gdzie zapalono światła i gdzie było bezpiecznie.

Na podwyższeniu terasy grała muzyka, chcąc gości rozerwać, bo byli pełni trwogi. Jednakże nie mogła z rykiem burzy współzawodniczyć.

Nagle powstał okrzyk: — Tam, na morzu daleko — ktoś płynie!

Goście ruszyli ze swoich miejsc, wpatrując się w wskazanym kierunku.

— Ależ nie, nie, to nie może być człowiek!

— A jednak, jest to człowiek!

Lornetki-dalekowidze krążyć zaczęły. Śledzili pilnie, co to może być takiego, co się na falach od czasu do czasu pokazuje.

— O tak — ozwały się głosy — tam na falach walczy jakaś postać.

Po obserwujących przebiegł szmer niepokoju...

— Ach, jak walczy z falami!

Następnie poczęto rzucać pytanie: — Kto by to mógł być?!!

Oglądano się trwożnie naokół siebie, szukając oczami przyjaciół, krewnych i znajomych, czy kogoś nie brakuje i czy to nie ktoś swój walczy o życie?

I coraz częściej w tym szmerze pytań wybijało się domniemywane nazwisko.

Obecnie już wiedziano kto to jest. To Ryszard Z., sławny i nieustraszony pływak. Zwykle najdalej ze wszystkich kąpiących się na pełne morze wypływał i przypomnieli sobie, że właśnie dziś, widziano go w oddaleniu, po za zabezpieczeniem zatoki.

Jeden z gości, trzymający w ręku małą lunetę oznajmił: — Tak, poznaje go, to jest Ryszard Z..

Oświadczenie to wstrząsło widzami — do głębi! Grupowano się około tych, którzy mieli szkła powiększające i śledzili z niepokojem dalsze losy nieszczęśliwego.

— Patrzcie, patrzcie! — wołali.

— Darmo się wysila, fala nim igra! Fala go porywa. Już jest zmęczony... Raz go widać i znowu nie... Ach! on nie dopłynie!...

Powstało zamieszanie. Każdy pragnął nieść pomoc tonącemu, czując zarazem swoją bezsiłę. Jeden pobiegł do dzwonu alarmowego, szarpiąc nim z całych sił. Inni pospieszyli do rybaków stojących na brzegu morza wołając, by spuścili barkę na morze i aby pospieszyli tonącemu na ratunek. Część zaś, zapaliła świece i z podwyższonej terasy wykonywała niemi ruchy, chcąc niejako wskazać kierunek drogi powrotnej nieszczęśliwemu.

Rybacy spuścili barkę na zatokę i silnym ruchem wioseł starali się przewalczyć nadbiegające fale.

W tym czasie siedziały dwie osoby przy małym stoliku na terasie. Mężczyzna i kobieta. Był to Kazimierz S. i jego żona.

— W czasie, kiedy towarzystwo wołało i radziło nad sprawą tonącego — Kazimierz zerwał się również, pobiegł, wyprzedzając wszystkich, aby zobaczyć co się stało. Miał wzrok sokoli, więc poznał, że jest to Ryszard, który walczy z ogromnemi, przewalającemi się falami o swe życie.

Przekonawszy się o tem, powrócił do swej żony.

— Wiesz ,kto tonie? Ryszard. I to właśnie dziś...

Kobieta skurczyła się w sobie i zbladła.

— Okropne!

— Tak — więc żałujesz go?!...

— Kaziu! Przecież to człowiek znajdujący się w największem niebezpieczeństwie...

— Tak jest, człowiek, ale na miano człowieka nie zasługujący. Podły, pospolity, nicpoń, lowelas, który swemu najlepszemu przyjacielowi gotów był zdeptać szczęście rodzinne i spokój domowy i to tylko dlatego, by do liczby miłosnych przygód dołączyć jeszcze jedną. Zasłużył na taki los.

— Ależ Kaziu, nie bądź bez serca!

— A on miał serce? Udawał, że jest mi oddanym przyjacielem, gdy tymczasem za mojemi plecami chciał ciebie uwieść... Chciał cię zrobić swoją kochanką!... Podły!... Miłosne słowa szeptał ci do ucha... kusił... był natarczywy... — Mówiąc to drżał z gniewu i oburzenia.

— Ależ, uspokój się — prosiła żona.

— Jeżeli kobiety, przed taki bezwsmtydnikiem, uciekają, szukając u męża ochrony, znaczy, że czują, iż słabną i że atak takiego lowelasa staje się niebezpieczny.

Ujął żonę za rękę:

— Jak daleko posunął się Ryszard w stosunku do ciebie? — pytał szeptem. Ten wielki i silny Kazimierz drżał na całem ciele.

— Ależ — Kaziu!...

— Odpowiedz!...

— Ja już wszystko powiedziałam...



PAMIĘTAJCIE: Upały lipcowe są dla niemowląt najniebezpieczniejsze Najwięcej dzieci umiera w tym właśnie miesiącu.

— Więc nic więcej? Czy na słowach tylko poprzestał? Czy cię nie objął? Czy cię nie całował?!...

— Ależ — Kaziu!...

— Odpwiedz, skoro pytam. **Patrz mi w oczy.. Nie obawiaj się, nie jesteś winna. Uczyniłaś to, coś uczynić mogła, to jest uciekłaś do mnie.** Ale... ale... on cię całował?! Całował w ukryciu... podstępnie.... jak bandyta?!

— Błagam, daj pokój!

— Ale usiłował cię pocałować — pytał natarczywie.

— Tak — szepnęła żona.

Mąż zgrzytnął wściekle i przygryzł wargi do krwi, bladość jego była widoczna.

Z plaży dochodziły krzyki. Na terasie, widzowie tej strasznej sceny, rozmawiali monosylabami. W tem ujrzeli, że jedno wiosło łodzi ratowniczej przestało działać, porwała je fala.

— Nie mogą się barką do niego zbliżyć!

— Jeszcze płynie, ale coraz słabiej, jest już znużony, i to bardzo!

Kazimierz przesunął się pomiędzy ludzkim tłumem, spojrzał śmiało na pieniące się morze. Wypatrywał pomiędzy falami Ryszarda. Bezlitośny uśmiech pojawił się na jego ustach. On — Kazimierz S. — sławny pływak, który przez wiele lat brał nagrody i zwany był „niezwyciężony", dziś spostrzegł, patrząc okiem znawcy, że siły tonącego już się wyczerpują i jeszcze chwila, a pójdzie w głąb...

— Ten podlec...

Przez kilka sekund patrzył dziko na szalejące fale. Nagle zbiegł z terasy, znalazł się na plaży, na piasek rzucił swoje ubranie i wskoczył w spienione fale. Swemi silnemi ramiony, z wprawą szaloną przecinał je i wymijał, zbliżając się do tonącego.

Podniecenie widzów doszło do szczytu! Mieli przed sobą obraz niezwyczajny!

Tam — na morzu, omdlewający w śmiertelnej walce człowiek — tu daremnie wysilający się rybacy, w chwiejącej się barce, co chwila odrzucanej przez fale — i — śmiały pływak, dążący po przez wszystkie niebezpieczeństwa na ratunek tonącemu.

Widzowie więc pełni byli grozy, podniecenia i wzruszenia... Jedni załamywali ręce, drudzy płakali wielu się modliło, ale wszyscy patrzyli jak oczarowani na śmiały czyn dzielnego człowieka.

Wzruszenie było tak wielkie, że na terasie zapanowała śmiertelna cisza.

Żona Kazimierza zerwała się przerażona. Nie widziała, siedząc przy stoliku, że jej mąż popłynął ratować tonącego.

— Co się stało?! — wołała. Usłyszała nagle krzyk, taki, który przewyższył huk burzy.

— Brawo! brawo! Niech żyje!! Dosięgnął go. Trzyma! Płynie z powrotem! Ale jak płynie! Patrzcie jak umiejętnie podtrzymuje! To dzielny, to szlachetny człowiek!

I rzeczywiście Kazimierz przewalczył przeszkody, płynął do Ryszarda. Był to już ostatni moment. Ryszard omdlewał i z charczeniem konającego wyrzucał z ust wodę. Jeszcze chwila — a byłby utonął. Kazimierz ciągnąc Ryszarda płynął powolniej, z większym wysiłkiem, ale do plaży dopłynął.

Ludzie będący na terasie runęli na brzeg. Owacjom nie było końca! Każdy chciał być bliżej bohatera, co narażając swoje, bliźniemu uratował życie. Chwytali go za ręce, podawali ubranie, każdy czuł się szczęśliwy, że go żywego ogląda.

P. Zofja Starkowa



członek Głównego Zarządu Związku Kobiet Pracujących, jest jedną z założycielek naszego Związku. Dnia 26-go lipca 1927 r. obchodzi 25-lecie swej pracy zawodowej. Zasługi Jej około założenia rozbudowy i wzmocnienia naszego Związku są nadzwyczaj wielkie. Na dzień uroczysty zasyła Jej Związek swe najserdeczniejsze życzenia.

— Wzrok Kazimierza był surowy. Patrzył na słaniającego się Ryszarda wzrokiem sędziego.

Ryszard, podtrzymywany przez widzów pod ramiona, zbliżył się do swego wybawcy i wyciągnął doń rękę.

— Kochany Kazimierzu! Dziękuję ci....

Kazimierz podanej ręki nie przyjął.

— Uratowałeś mi życie!...

— Tak jest — odpowiedział Kazimierz zmienionym głosem. Uratowałem ci życie, ale tylko dlatego, aby mój dług spłacić. Chcę ci powiedzieć to, o czem będziesz pamiętał całe życie, bo tej chwili nigdy z pamięci nie wymażesz — żeś podły! Słyszysz — podły! Po tysiąckroć podły!!!

To powiedziawszy, K. się odwrócił, zbliżył do oczekującej go z trwogą żony, ujął pod ramię i uszedł z otoczenia, wymijając wszystkich bez słowa.

Publiczność patrzyła po sobie zdumiona, nic z tej sceny nie rozumiejąc.

Jeden Ryszard rozumiał, wskazywały na to jego oczy i upokorzony wyraz twarzy.

Objaśnień, tej miażdżącej dla niego sceny nie dawał, zostawił je sobie. I pytanie, czy w tym momencie w jego zepsutej duszy nie wstało sumienie i czy ono także nie powiedziało: „Jesteś podły!"

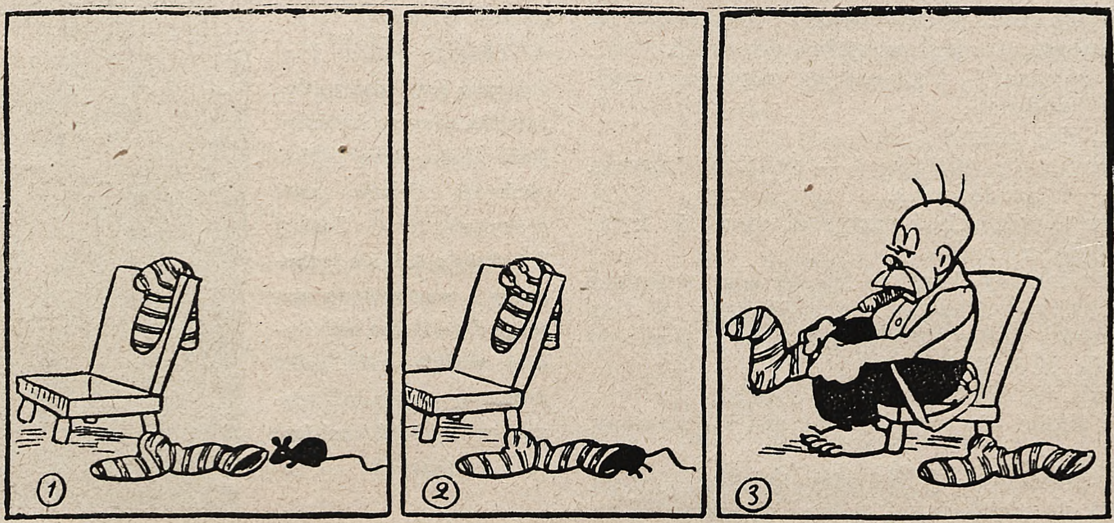
A burza szalała i zaciemniała coraz bardziej horyzont. Taka sama szalała w sercach tych trojga, którzy duchowo wzięli udział w rozegranym między nimi dramacie.

Wiernicka Elżbieta.

Nie zadawaj się z nieznajomymi! Krawcowa Józefa Owczarczykówna, ulica Grunwaldzka 33, zgłosiła się na IX komisarjacie i oświadczyła, że jakiś nieznany mężczyzna wywabił ją podstępnie za Górczyn, poczem rzucił na ziemię i wyrwał torebkę, zawierającą papierośnicę oraz inne przedmioty, poczem zbiegł. Owczarczakówna a również wszyscy powinni wyciągnąć z powyższego naukę: nie zadawać się nigdy z obcymi, gdyż można nieraz srodze odpokutować takie znajomości z pod ciemnej gwiazdy.

Pończocha i duch!

czyli odważny mężczyzna i skok bohaterski w czwartym obrazku.

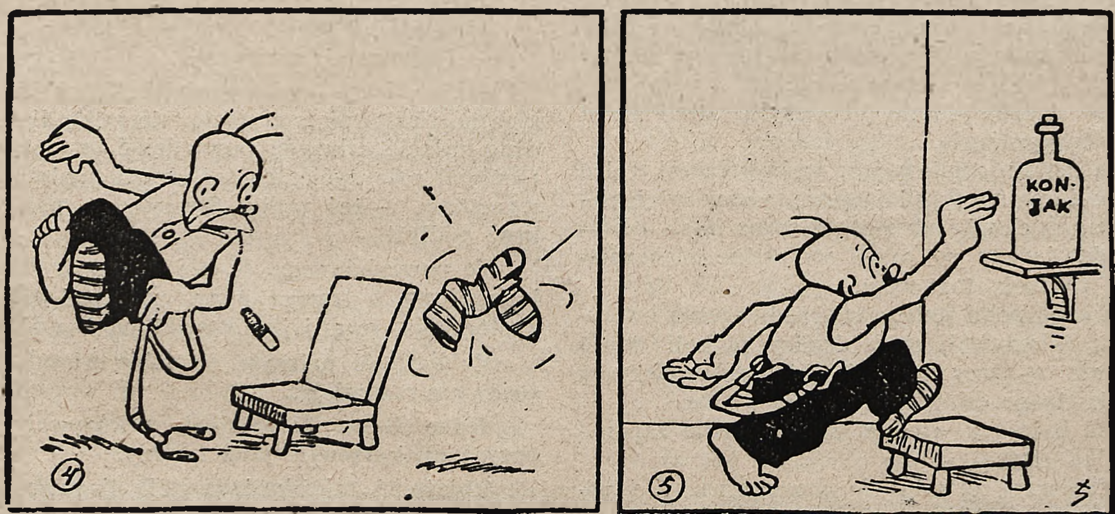


Mały rentjer Safandulski, Pan Ignacy,
Żyjąc sobie lekko, prawie, że bez pracy,
Swe pończochy niezwinięte, rozrzucone,
Pozostawiał; zdradźmy: że — też przepocone....

Pan Ignacy, ćmiąc cygaro, na stołeczku siada
I — pierwszą pończochę na swą lewą nogę wkłada.
„Oj, nieprawidłowo, będzie jakieś licho",

Myszce malej, jedna z pończoch, jakby rura
Wyglądała, więc też do niej dała nura...
Gdy tam myszka wlazła z wielkiej ciekawości,
Myśli sobie: tutaj nieraz przyjdę w gości...

Mysz zaś, ruchem przerażona, siedzi w drugiej — [cicho...



A gdy kolej przyszła już na prawą nogę,
Pan Ignacy tak przestraszył ją — niebogę,
Że skoczyła na dwa metry i — jak wściekła,
Wraz z pończoszką Ignacego — gdzieś uciekła.

Pan Ignacy przerażony, traci rozum wszelki
Duch, duch, woła — gubi negliż, gubi szelki,
Wziął flachę koniaku, narobił rejwachu,
Wypił na odwagę, ale drży — ze strachu!.. **A B.**

Groźna szajka.

Tajemniczy nieznajomy chciał porwać pewną dziewczynę. — Próba nie udała się.

Marta P. była przez dłuższy czas już bez posady, to też skoro przeczytała ogłoszenie w jednem z pism, a że poszukuje „zawiadowczyni do większego majątku" zgłosiła się natychmiast, składając listowną ofertę. Coprawda wymagano również jakiejś koncesji, ale dziewczyna nie traciła nadziei, że dojdzie do porozumienia, a zresztą rodzina jej pomoże, byle znaleźć posadę i to w dodatku jeszcze na wsi... Mój Boże! zamknięta w dusznych murach miasta, stęskniona do słońca i przestworzy pól — ileż tu razy marzyła by się dostać na wieś!... Oto znajduje się w przededniu realizacji swych pragnień...

Następnego dnia z zapartym oddechem oczekiwała nadejścia chwili spotkania z nieznanym jeszcze chlebodawcą, który przysłał karteczkę, że mają się zejść na rogu tej i tej ulicy. O wskazanej więc porze p. Marta była już na miejscu. Czekał ją mężczyzna około 27 lat, o bujnych ciemnych włosach bez zarostu, średniego wzrostu, szczupły, ubrany w krótkie brązowe palto — rodzaj kurtki ze skórzanemi guzikami — popielate spodnie z bufami, czarne, długie buty i kapelusz; ponadto miał w ręku czarną skórzaną tekę i szpicrutę.

Nadspodziewanie prędko doszli do porozumienia.

Co tu długo czekać — oświadczył nieznajomy — pojedziemy zaraz autem, gdyż zależy mi na pospiechu.

— Ależ muszę przecież wziąć ze sobą jakieś rzeczy — protestowała Marta.

— To jutro przyślę po nie, albo pani sama przyjedzie...

— Nie mogę żadną miarą — zadecydowała trochę zrażona natarczywością — a bez pożegnania z rodziną nie wyjadę. Jutro natomiast stawię się niezawodnie.

— Niech już i tak będzie. Czekam zatem na panią w Czerwonaku, skąd do Czerwonczyna (rzekomy majątek — przyp. Red.) niespełna półtora kilometra.

Na tem pożegnali się. Następnego dnia wedle umowy pojechała p. Marta do Czerwonaka w towarzystwie wuja. Wysiadłszy na stacji zauważyła swego nowego chlebodawcę, który podbiegł do niej, lecz zaraz cofnął się, gdy ujrzał wuja i powiedziawszy tylko, że miejsce już zajęte... zniknął jak kamfora...

Podobny wypadek zdarzył się mniej więcej przed rokiem. Wówczas również zwabiono jakąś dziewczynę i usiłowano ją w bestjalski sposób zabić, lecz została dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, wyratowana. Są wszelkie dane, że ma się do czynienia z tą samą szajką, to też władze policyjne proszą każdego, ktoby mógł służyć jakiemiś informacjami o dostarczenie ich pierwszemu komisarjatowi, względnie Urzędowi Śledczemu w Poznaniu, pokój nr. 37.

Marcin Brown.



Obrazek powyższy przedstawia prawdziwą historję rodziny Brownów. Rodzina ta żyła od 1700—1830.

Głową rodziny był Marcin Brown, zawodowy oszust. Syn jego Jan był złodziejem. Tenże znowu miał trzech synów — wszystkich bardzo złego prowadzenia. Znani byli w okolicy jako oszuści i wagabundzi. Z tej linji, z drugiego syna, którego nazwiska nie znamy, pochodzi 4 synów czyli prawnuków Marcina Browna. Dwóch z nich skończyło w więzieniu — za ciężką kradzież i oszustwo, trzeci pod toporem katowskim za morderstwo, czwarty dokonał na drodze pod płotem niechwalebnego swego życia.

Marcina Browna nie wychowywał **ani ksiądz, ani matka, ani nauczyciel. Żyjąc bez religji, bez Boga** wychował siebie i swoje pokolenie społeczeństwu na wielką szkodę. Oto, do czego prowadzi wychowanie bez Boga. Szkoła bez Boga, rodziny bez religji, mogą przysporzyć społeczeństwu naszemu tylko oszustów, rabusiów i złodziei. Kościoły się opróżnią, więzienia się zapełnią, nikt na ulicy nawet za dnia białego nie będzie już bezpieczny.

Nadmieniamy, że życie Marcina i jego rodziny nie jest zmyślone. Kto ciekaw jest bliższych szczegółów, niech się zapyta o nie w Państwowem Mu-

zeum Hygienicznem w Dreźnie. Ludzie rozumni z trwogą patrzą na rodziny takie, jaką była rodzina Marcina Browna. Takim ludziom, ani żandarm, ani policja nie zaradzi. **Recka.**

Doniesienie sekretarjatu:

I. Na cele związku ofiarowały: Stow. Im. Król. Jadwigi w Ostrowie zł 30,—, Stow. „Rzepicha" w Kruszwicy zł 25,—. Serdecznie składamy „Bóg zapłać"!

II. Na starościniec dla Stow. Służby Żeńskiej ofiarowały następujące Stowarzyszenia: Żyw Róż. Panien par. św. Marcina (Ks. Zamysłowski) zł 250,—, Stow. Młodzieży Kupieckiej 6,15. Stow. „Strażnica" zł 1,70, p. Kodurówna. Giecz zł 5,00. Serdeczne „Bóg zapłać"!

III. Szanownym Stowarzyszeniom najuprzejmiej donosimy, że biuro związku w Poznaniu otwarte będzie w lipcu i sierpniu od godz. 9-tej do 1-szej w południe w czwartki do 4-tej.

Nasze zmarłe Stowarzyszone

† Jezus, Marja, Józef †

odpust 7 lat 7 kwadr.

śp.

Elżbieta Lipińska

w 17 roku życia

Stow, Im. Król. Jadwigi Ostrów

Niech odpoczywa w pokoju!

Red. i adm. „Gazety dla Kobiet" w Poznaniu, Al Marcinkowskiego 1. — Odbito w drukarni W. Tomaszewskiego w Poznaniu